



Marek Dryjer

Droga ślepców

Marek Dryjer

Droga ślepców

© **Copyright:** Marek Dryjer & e-bookowo

Skład: Ilona Dobijańska

Zdjęcie na okładce: designed by Photoangel/Freepik

ISBN: 978-83-7859-924-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez
zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I, 2018

Książkę dedykuję Jakubowi Markowi Dryjerowi

Od dłuższego już czasu siedział okutany grubym i mocno przybrudzonym kocem. Cały czas lekko przygarbiony, jak pochylone na wietrze drzewo. Jego zapach przypominał fetor najgorszych odchodów. Od dawna nie mieli wody, nie myli się i nie prali. Tyle tylko, aby była odrobina w butelce. Parę kropli, żeby przeżyć.

Ile jeszcze, tego nie wiedział. Cały czas podążali na południe, coraz wolniej ostatnio. Tu, gdzie przebywali teraz, z każdą godziną robiło się coraz zimniej. Nie wiedzieli, czy szybciej zamarzną, czy może umrą z pragnienia. Chłopiec nie czuł się dobrze, gorączka i dreszcze potęgowały tylko ból i przygnębienie. Poprawił koc i mocniej naciągnął go sobie na głowę. Zapadł mrok. Pomyślał, że to koniec, że może wreszcie to się już skończy. Zobaczy się z ojcem, odetchnie. Tak, to ostatnie potrzebne mu było najbardziej. Ciemność nie ustępowała ani na chwilę. Nie było nic. Zakaszłał, głośno zacharczał i musiał splunąć. Wyczuł w ustach smak krwi.

Nie mógł normalnie przełykać, bo kłuło i paliło go w gardle. Do tego jeszcze ta wysypka, piekące bąble i ropiejące strupy.

Jego twarz wyglądała jak surowy befsztyk, była naznaczona piętnem czasu.

Skąd do cholery wzięła się tu ta parszywa ospa?

Wiedział, że nie może się drapać, ale było to od niego silniejsze. Pocierał i płakał. Łkał i na nowo to muskał. Całe jego ciało pulsowało jednym wielkim bólem. Ile jeszcze wytrzyma?

Odchylił koc i zobaczył pochylonego nad nim mężczyznę. Wydawało mu się, że rozpoznał jego rysy. Chciał nawet krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Tato, zabierz mnie ze sobą, zdołał tylko pomyśleć i osunął się na ziemię.

Na dłużej stracił przytomność. Po wielu próbach ktoś go jednak ocucił. Krępy mężczyzna masował jego ciało, wcierając w nie resztki zatęchłej maści. Na tubce widoczny był napis: „odkazająca”. Zwilżył mu usta, po czym podał *Aciclovir* w czystej postaci, następnie przeciwbólowe pigułki, które miały złagodzić wciąż narastającą temperaturę. Chłopiec popił wszystko odrobiną wody, jak mu się wydawało. Była to jednak tylko rosa.

– Odetchnij chwilę, zaraz musimy ruszać.

– Dlaczego mnie pan uratował? Dlaczego nie pozwolił odejść z tatusiem? Tam było tak ciepło.

– Masz gorączkę.

– Dlaczego nie zostawił mnie pan w spokoju? Ja już tak dalek nie mogę.

– Nie możesz, to prawda. Pamiętaj, co obiecałeś ojcu.

– Że będę żył. Że odnajdę to miejsce, gdzie świat się nie skończył. Że cały czas będę miał nadzieję, bo mama tak chciała.

– Właśnie.

– Ale przecież nadzieja umarła razem z tatą, a może w ogóle nie istniała? To wszystko, to gównno.

– Nie mów tak.

– A pan tak nie myśli?

– Nie. Musimy ruszać.

– Niech mnie pan tu zostawi. Jestem tylko niepotrzebnym ciężarem. Mój tata zawsze mi powtarzał, że zbędnego balastu trzeba się pozbywać.

– Nie pozwolę ci umrzeć w ten sposób. Bierz plecak.

Okutany w koc ostrożnie podniósł się i narzucił sobie ten pakunek. Nogi lekko mu się ugięły, ale wytrzymał, niczym sztangista walczący na pomoście o olimpijskie złoto. Poczł cały ten ciężar.

Ruszyli, jeśli można tak powiedzieć. Wszak najpierw musieli wydostać się z lasu. Zajęło im to godzinę. Normalnie wystarczyłby kwadrans, ale teraz nic już nie było normalne. Wszędzie tylko opadający na ziemię pył i świdrujący w nozdrzach popiół. Słońce nie mogło przebić się przez to. Już od tak dawna nie widzieli słońca. On nigdy go przecież nie widział. Ale musiało jeszcze istnieć, bo gdyby go nie było, to oni także by już nie żyli. W jednej sekundzie umarłby cały świat. Czy aby na pewno jeszcze dychał?

Wypęzli na drogę. Asfalt od razu wydał się bardziej przyjazny. Załadowany po brzegi wózek sklepowy wolno toczył się naprzód. Mieli tam cały swój dobytek. Mocno obciążone koła skrzypiały niemiłosiernie.

Będą musieli coś z tym zrobić, nie mogą przecież rzucać się w oczy. Nie mogą ryzykować. A co jeśli spotkają złych ludzi?

Głodowali od dawna, teraz chyba wszyscy głodują. Wszyscy to niewiadoma, bo nikt nie wie, czy jeszcze są. A jeśli tak, to gdzie i ilu? Nie powinni ryzykować.

Chłopiec zacisnął mocniej dłoń na rękojeści rewolweru. Nie był teraz najmłodszy, oprócz niego było jeszcze dwoje innych dzieci oraz dwie osoby dorosłe. Po tym, jak pomyślał, że to już koniec, bo nic nie był w stanie zrobić, spotkał jego. Po tym, jak odszedł ten najbliższy, pomimo heroicznej walki i wielu milach wspólnej wędrówki. W tamtej właśnie chwili to czas, a nie on stanął i zatrzymał się na moment. Trzy dni lamentów, trzy doby chyba, bo nie był pewien. Po tym czasie, gdy zjadł resztki ostatniego kompotu, gotowy był na wszystko. Mając omamy, zauważył człowieka. Nie był do końca przekonany, czy własne oczy pokazują mu całą prawdę, ale nie zastanawiał się nad tym. Nie przestraszył się także, po raz pierwszy od dawna.

Mężczyzna zabrał go ze sobą. Nie odebrał mu broni, ani nie przeszukał zawartości bagażu, jakby wszystko rozumiał. Tak jakby od dawna szedł jego tropem. Może znał go? Może znał go także jego ojciec? No tak, ale ojca nie ma. Nie ma już nic. Mimo to dobrze mu z oczu patrzyło, ta przezabawna broda, krępa sylwetka, zawadiacki pas z nabojami i długa dubeltówka. Ubranie miał nawet niezniszczone, może naprawione, i była z nim kobieta, prawdopodobnie żona, choć tego akurat nie był pewny.

Ślub? Niby, kto miałby im go udzielić? Czy w ogóle istniał jeszcze jakiś kościół? Nie raz rozmawiał o tym z ojcem. I o ma-

mie także. Często napotykał przy tym na ciszę, nauczył się już, że czasami to właśnie ona była słyszalnym głosem osoby, której zwyczajnie nie mógł już usłyszeć.

Kobieta towarzysząca mężczyźnie za nic nie przypominała matki chłopca, krępa sylwetka, pochylona, może nawet lekko zgarbiona, z długimi, splątanymi i mocno zniszczonymi włosami. Jej mętny wzrok lustrował jego oczy. Miał wrażenie, że zaraz wszystko z nich wyczyta. Odziana w długą pelerynę, podartą i postrzępioną. Jakiś poszarpany sweter, chyba zielony, ale tego nie mógł stwierdzić na pewno.

Prawdziwej zieleni nie pamiętał. Czasem prosił: Tatusiu, powiedz mi, jak wyglądają inne kolory?

Ciągle widział tylko jeden, we wszystkich jego szarych odcieniach. Wszędzie tylko pył i popiół.

Kobieta przytuliła go do siebie i pogłaskała po głowie. Poczul przyjemność, tak mu jej brakowało, że chciałby więcej. Chciałby, żeby była to mama. Zaczął płakać. Długo go uspokajała, zanuciła coś pod nosem. Prawie wtedy zasnął. To właśnie wtenczas doświadczył czegoś niezwykłego. Wydawało mu się, że dostrzegał słońce. Jego jasne i ciepłe promienie, które oślepiły go niemal całkowicie. Przymrużył powieki, chcąc uchronić oczy. Poczul wtedy silną rękę na ramieniu, a zaraz potem na głowie. Po chwili zorientował się, że była to tylko latarka, w dodatku z ledwo tłącym się mizernym światełkiem. Ta cienka smuga światła nadal penetrowała jego źrenice.

- Przytrzymaj mu głowę, bo nic nie widzę.
- Żyje?

– Tak. Ale nie wiem, jak długo jeszcze.

– Idzie z nami?

– Tak.

Przez chwilę nic nie mówili.

– Idziesz z nami? – zapytali go prawie równocześnie.

Nic nie powiedział. Powtórzyli pytanie. Pokiwał lekko głową.

Idzie. Mężczyzna wzruszył ramionami.

Widać było, że byli zadowoleni.

W drodze poznał jeszcze dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopczyka, na oko młodszych od niego. Prawdopodobnie były to ich dzieci. Jasne i długie włosy oraz delikatna buzia wystawały z grubego kaptura. Obok, też dobrze zamaskowany, znajdował się jej młodszy brat. Spuszczona głowa, zwichrowana czupryna, oboje pod brezentem w bezruchu i bez uśmiechów. Czy aby na pewno była to jeszcze rodzina?

Czy tak właśnie wyglądały prawdziwe rodziny? – Zastanawiał się przez moment. A może oni nie są ich rodzicami? Może prowadzą ich ze sobą w innym celu? Widział wcześniej, jak kobieta ostrzyła nóż. Nie pozwoli im tego zrobić. Nie będzie na to beczynnie patrzył. Nie chce więcej słyszeć tych odgłosów. Ciarki przeszły mu po plecach. Od razu przypomniał sobie farmę, na której razem z ojcem szukali pożywienia. W zamkniętej na kłódkę zakamuflowanej spiżarni tuż pod podłogą nadzy i mocno wychudzeni ludzie leżeli na workach po kartoflach. Niektórzy częściowo już niekompletni. Tego krzyku nigdy nie zapomni, tak samo jak tamtego, który usłyszeli kilka godzin później, kiedy dobiegał do nich z tego samego domu, gdy śmiertelnie wystra-

szeni skrywali się niedaleko w kępie zbutwiałych liści. Cudem się wtedy uratowali. Teraz też tak będzie.

Zadygotał z zimna. Nie wytrzymał i wyjął broń.

– Nie pozwolę wam tego zrobić.

– Czego? – zapytał nieporuszony sytuacją mężczyzna.

– Nie możecie im tego zrobić – powtórzył trochę ciszej.

Reakcja była natychmiastowa.

– Czego nie możemy? – zawył tamten. Kobieta nic nie wiedziała.

– Nie możecie ich zjeść.

Rozpłakał się, nie zdejmując palca ze spustu. Broń była wycelowana prosto w pierś mężczyzny.

– Powiedz, zabijeś już kogoś? Myślisz, że to takie proste pociągnąć za spust?

– Nie.

– A zabijesz mnie?

– Tak.

– Ile masz kul? Może jedną albo dwie, a jak spudłujesz?

– Mam jeszcze pistolet na race świetlne.

– A ja strzelbę. I pewnie szybciej ją wyciągnę. Chcesz zginąć?

– Nie, a czasami chyba tak, ale raczej nie, nie wiem.

– Nie, powiadasz, to dobrze. Odłóż broń.

– Nie mogę.

– Możesz.

– Nie chcę.

– Musisz – oznajmił mężczyzna.

– Dlaczego? – zapłakał jeszcze mocniej.

– Dlatego, bo to są nasze dzieci.

Kobieta milcząco potwierdziła.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę, bardzo je kochamy.

– Jak mogę wam wierzyć?

– Mówiłem już, że musisz. Kochamy je tak samo mocno, jak twój ojciec kochał ciebie.

Nie odpowiedział. Nic więcej nie trzeba było mówić. Nie wiadomo, czy uwierzyli sobie nawzajem, ale w tamtej chwili było coś, co sprawiło, że faktycznie musieli.

– Jesteście dobrymi ludźmi?

– Tak, przecież już ci mówiliśmy – odparła kobieta i uśmiechnęła się do niego.

Zobaczył wtedy jej zniszczone zęby.

Okutany w koc stawiał kolejne kroki. Głodny, spragniony, chory i zmęczony parł naprzód asfaltową drogą. Było ich teraz więcej, więcej było też problemów. Na zmianę pchali wózek. Koła mniej piszczwały po tym, jak nasmarowali je znalezionym po drodze starym olejem silnikowym. Trochę się zacinały, ale powinny się wyrobić. Mijali kolejne kilometry, wydawało im się, że szybciej niż ostatnie. Mężczyzna często sprawdzał mapę. Szukał na niej właściwej drogi i miasteczek na szlaku. Do najbliższego miasta było wiele mil. Wszystko na około sprawiało wrażenie uśpionego, nie poruszało się, tak jakby nie żyło.

Jedzenia nie mieli za wiele, także kolacja była niewielka. Po jednym ciastku upieczonym ze starej mąki, którą znaleźli w jednym z domów. Odrobina soli, której mieli więcej. Suszone mo-

rele z datą ważności zamazaną i nieczytelną. Nie śmierdziały, to chyba były dobre. Po jednej sztuce na głowę. Dorośli żuli jeszcze tytoń. Nie nadawał się do palenia. Wszystko popili deszczówką. Jej kwaśny smak sprawił, że ich zmęczone twarze powykrzywiały się w dziwnym grymasie, jakby mieli z czegoś niezły ubaw. Śmiali się jak nigdy, ale nie był to śmiech szczęśliwych ludzi.

Na noc zjechali do lasu. Sprawdzili teren. Wydawało się, że jest bezpiecznie. Znaleźli odpowiednie miejsce na nocleg. Rozłożyli namiot, który ledwo zipsał. Poprawili brezent i okutani w dodatkowe koce położyli się do snu. Zapadła głucha i bezszelstna cisza. Nie było słychać nawet wiatru. Było jednak niesamowicie zimno.

Nie wiedzieli, jaka była pora roku, ale podejrzewali, że długa zima. Taka, która trwała chyba ze dwanaście miesięcy. Dzieci szybko zasnęły. Kobieta, która je usypiała także. Mężczyzna nie mógł zmrużyć oka. Zdawało się nawet, że płacze. To, czego nie mógł robić w dzień, robił w nocy. To, co kiedyś wydawało się niepotrzebne, teraz było konieczne.

Rano bez śniadania wyruszyli w dalszą drogę. Do południa zrobili kilka mil. Na drodze nie było nikogo. Ciągłe ten sam asfalt, zakręty i proste. I tak w kółko. Żadnych ludzi, ani zwierząt. Najmniejszych śladów życia. Dobrze wiedzieli, że to nie może trwać wiecznie. Musiał przecież ktoś jeszcze ocaleć, skoro oni nadal żyli. Kim się okaże? Woleli tego nie wiedzieć.

Musieli uważać, pilnować dzieci i nie rzucać się w oczy. Często korzystali z lornetki, którą chłopiec dostał od ojca. Pomagała wypatrzyć niebezpieczeństwo. Nieraz musieli szybko schodzić

z drogi i pośpiesznie kryć się w lesie. Kilka kolejnych dni upłynęło im identycznie. W czasie dnia szli, a nocą próbowali odpoczywać. Było coraz zimniej i zaczynał padać śnieg. Mężczyzna dokładnie sprawdzał mapę, potem kompasem określał kierunek. I tak na zmianę. Na pozór wydawało się, że wszystko jest dobrze, ale nie było. Może to kompas był niesprawny, a może mapa nieaktualna? Ale przecież droga wciąż pozostawała niezmienną. Od kiedy? Od dawna, chyba od zawsze.

Od kilku dni nic nie jedli i ledwo się poruszali. W zasadzie to ślizgali się po mokrej nawierzchni, kiedy śnieg szybko topniał. Nie mieli butów, tylko jakieś szmaty prowizorycznie obwiązane sznurkiem – byle jakie podeszwy i marne skórzane mocowania. Tyle, ile mógł dla nich zrobić, to uczynił. Resztkami sił doszli do granic tego parszywego wzniesienia. Zobaczyli wtedy jakieś miasto, które wyglądało na wyludnione. Zbliżał się wieczór i musieli gdzieś przenocować. Kobieta pierwsza zagadnęła:

- Nie wejdziemy tam, prawda? Nie teraz?
- Musimy, przecież wiesz.
- Może poczekajmy do rana?
- Nie możemy.
- Boję się.
- Ja też się boję.
- To zostanmy.
- Nie, nie jedliśmy od dawna. Dzieci są bardzo głodne. Muszę znaleźć coś do jedzenia.
- A jak nie znajdziesz?
- Muszę, dotąd nam się udawało.

– Co zamierzasz?

Zabiorę chłopca i pójdziemy. Ty z dziećmi zostaniesz tutaj, przynajmniej dopóki nie nadejdzie zmrok. Tu będziecie bezpieczni. Zostawię lornetkę, żebyście nas widzieli. Nie rozpalajcie ognia.

– Wróćcie przed nocą?

– Nie wiem – odparł i spojrzał na nią wymownie.

– Wróćcie w ogóle?

– Nie wiem, przecież wiesz.

– Aha – wycedziła przez łyzy. – Weźcie broń.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko pośpiesznie przygotował im nocleg. Rozłożył namiot i rozpiął brezent. Wszystko zamaskował popękаныmi gałęziami. Zostawił wózek z dobytkiem, lartarkę, trochę wody i zapalniczkę, w której gazu było niewiele. Położył dzieci spać, po czym ucałował je tak, jakby miał je oglądać ostatni raz. Pożegnał wreszcie ich matkę. Zawsze tak robił, tak na wszelki wypadek.

Zeszli ze zbocza i wkroczyli do martwego miasta, ale nie dumnie i odważnie, tylko po cichu i bardzo ostrożnie. Idąc w głąb zabudowy, rozglądali się na boki. Niczego podejrzanego nie zauważyli. Minęli ruiny ratusza, budowla ta dawno już utraciła swój wdzięk. Teraz były to tylko masy betonu i stali, rumowisko poobdzierane z tynku, z dużą wyrwą w jednej ze ścian, prawdopodobnie spowodowaną wybuchem.

Broń, może gaz? – Zastanawiali się przez chwilę.

Nie weszli jednak do środka. Szukali czegoś innego. Minęli kolejne i następne budynki, potem kompleks mieszkalny i praw-

dopodobnie szkołę, obok której zobaczyli boisko do koszykówki. Pod bliższym koszem leżała piłka. Mieli nieodparte wrażenie, że przed chwilą ktoś musiał nią grać. Piłka była jednak mocno sflaczała. W budynku nie było okien, pobazgrane farbą drukarską wypalone wnęki przyciągały wzrok i chłoneły ostatnie światło niczym miniaturowe czarne dziury. Przeszli na drugą stronę zakurzonej ulicy i dostrzegli w oddali stary szpital, którego ogrodzenie wyglądało na nienaruszone. Obleciał ich strach. Stanęli i zastanawiając się nad tym wszystkim, rozejrzeli się dokoła. Byli w kropce.

– Musimy to sprawdzić – powiedział mężczyzna.

– Ja nie chcę. Boję się.

– Ja też się boję, ale musimy, przecież wiesz.

– Wiem. Wiem, że musimy. Zgoda.

– Tak. Zgoda – potwierdził starszy z nich.

Weszli za ogrodzenie, następnie udali się przez skwer spacerowicza - tak był opisany na mapie. Kiedyś może tak wyglądał, teraz na pewno już nie. Później ominęli jeszcze jeden zaułek i porozbijane schody, wysokie i pochyłe, po czym otworzyli marne drzwi i wolno weszli do środka. Najpierw tylko się rozglądali, a gdy się trochę oswoili, postanowili zrobić kolejny krok. Potem tych kroków było już znacznie więcej. Sprawdzili wiele pomieszczeń, w których znaleźli sporo rozmaitych przedmiotów. Składowali je później w jednej z pobliskich komórek, która wydała im się najczystsza i miała solidne zamknięte drzwi. Z łatwością mogli to wszystko zabezpieczyć. Zawiasy zaskrzypiały, a potem klucz zgrzytnął w zamku.